

WINNER

JONAS

MURDER PARK

Park morderców

Tłumaczenie

Agnieszka Hofmann

*Uśmiechnąłem się
– jakież bowiem miałem powody do obaw?*

Edgar Allan Poe



initium
wydawnictwo

Kraków 2017

Original title: Murder Park by Peter Wohlleben

© 2016 by Jonas Winner

© 2017 for German edition by Wilhelm Heyne Verlag

a division of Verlagsgruppe Random House GmbH,

München, Germany.

Copyright © for the Polish edition by

WYDAWNICTWO INITIUM Wszelkie prawa zastrzeżone

Cytat Edgara Allana Poe z poprzedniej strony

– przekład Bolesław Leśmian i Stanisław Wyrzykowski

(Opowieści niesamowite, Tower Press, Gdańsk 2000)

Tłumaczenie z języka niemieckiego: AGNIESZKA HOFMANN

Redakcja: ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Korekta: NATALIA MUSIAŁ, ANNA PŁASKOŃ-SOKOŁOWSKA

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz „Panczakiewicz Art Design”

Fotografie wykorzystane na okładce: © MorganStudio/Shutterstock

© weerapon/Shutterstock

DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: Anita Brylewska, BARBARA JARZĄB



initium
wydawnictwo

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-62-0

Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

Druk i oprawa: DRUKARNIA README, www.readme.pl

MURDER PARK

Wkrótce otwarcie

Boston, MA, marzec 2017

Park rozrywki na Zodiac Island poświęcony tematyce seryjnych morderców zostanie otwarty jeszcze w tym roku. Właściciel parku, biznesmen Rupert Levin, wraz z grupą dziennikarzy, konsultantów i ekspertów odwiedzi Murder Park pod koniec miesiąca. Stare karuzele, kolejka górską, diabelski młyn i inne dawne atrakcje, rdzewiejące na Zodiac Island od lat dziewięćdziesiątych, zostaną częściowo przerobione i zintegrowane z nowym parkiem. Wesołe miasteczko na wyspie zamknięto w roku 1997 po serii brutalnych zabójstw. Zginęły wówczas trzy kobiety.

Wywiad filmowy 1 z 12

Panna

Imię i nazwisko: Paul Greenblatt

Wiek: 24 lata

Zawód: reporter

Paul: Byłem jak opętany. Miałem wtedy książkę – już nie pamiętam jej tytułu. Traktowała o seryjnych mordercach, ale też o najsłynniejszych płatnych zabójcach w historii kryminalistyki. Na przykład o Richardzie Kuklinskim, legendarnym Icemanie, który zabijał na zlecenie mafii... Było w niej również o zabójcach szaleńcach, o uczniach, którzy dokonali masakry w Columbine Highschool... i tym podobnych. I było o morderstwach na tle seksualnym. O zbrodniarzach, którzy zabijają, bo muszą. Zabijają, bo chcą. Oczywiście trzeba rozróżnić ich i płatnych zabójców oraz szaleńców, gdyż u morderców zabijających pod wpływem popędu wielką rolę odgrywa seksualność. To dodaje sprawie podniety.

Sheldon: Czy to właśnie ta podnieta tak pana fascynowała?

Paul: Nie... nie od razu. A przynajmniej nie świadomie. To się zaczęło, kiedy miałem... ile? Dziesięć, może jedenaście lat. Tamta książka o mordercach należała do mojego przybranego ojca. To był duży ilustrowany tom z licznymi czarno-białymi fotografiami, zdjęciami policyjnymi, fotografiami z miejsc zbrodni, relacjami naocznych świadków. Od razu mnie to zafascynowało. Jakby te obrazy wciągały mnie w siebie. Więzienia, krzesła elektryczne. Twarze przechodniów, stojących na krawędzi chodnika, wpatrzonych w zbrodniarza odprowadzanego przez policję. Oblicza sprawców. Ze śladami spustoszenia po nocy. Cień zarostu, podkrążone oczy. Takie zakonserwowane, odległe, a jednak z tych zdjęć można było... Nie wiem, miałem wrażenie, że można było jakoś z nich wyczuć, że ci sfotografowani ludzie są żywi... albo byli. Jakby ta ich żywotność wsiąkła w zdjęcia, w które się wpatrywałem. Mój przybrany ojciec zobaczył kiedyś, jak leżę na podłodze z tą książką. „Jesteś na to o wiele za mały”, powiedział, choć ja wcale tak nie uważałem. Ale on o tym wiedział. On wiedział, i ja również. Dosłownie wśliznąłem się w tę książkę, jakbym był namydłony na całym ciele! Mój przybrany ojciec odebrał mi ją, ale... połkną-

łem wtedy haczyk, jeśli można to tak nazwać.
Rozpalił się we mnie ogień.

Sheldon: I zaczął pan gruntownie zgłębiać te sprawy.

Paul: Byłem tym opętany. Na początku fascynowały mnie wszelkiego rodzaju opowieści o morderstwach, ale potem... z czasem... może ma pan rację... może z czasem rzeczywiście doszedł do tego jakiś element seksualny. Ja... racja... potem coraz bardziej się skupiałem na sprawcach, którzy... którzy...

Sheldon: Tak?

Paul: Nie, nic, to chyba nonsens.

Sheldon: Na pewno nie, Paul. Proszę mówić. Proszę mówić zupełnie swobodnie. Wszystko, o czym pan teraz opowie, zdarzyło się wiele lat temu. Nie musi pan być ostrożny, jestem pewien... wiem, że wszystko to zostawił pan za sobą.

Paul: Ale dlaczego... Dlaczego w takim razie chce pan ze mną o tym mówić?

Sheldon: Pan wie, dlaczego o tym rozmawiamy, Paul. Rupert Levin poprosił mnie, żebym przeprowadził rozmowy ze wszystkimi, którzy wezmą udział w tej imprezie. Oczywiście nie chcemy rozmawiać o tym, gdzie pan spędził ostatnie wakacje czy jaki sport pan uprawia. Chcemy porozmawiać o Bohnerze, Paul. O Jeffie Bohnerze, gdyż to o niego chodzi przede wszystkim w tym parku.

Paul: Tak, oczywiście, ma pan rację.

Sheldon: Więc?

Paul: Więc co?

Sheldon: Co pan chciał powiedzieć?

Paul: Ja... wyleciało mi z głowy.

Sheldon: Chciał pan opowiedzieć o tym, jak na początku ogólnie interesował się pracą policji...

Paul: Tak, zgadza się, to były niesamowite historie. Ale... kiedy byłem nieco starszy, to nie płatni zabójcy... ani mordujący szaleńcy... fascynowali mnie tak naprawdę. To byli kilerzy seksualni. Kuba Rozpruwacz. Ed Gein. Ted Bundy...

Sheldon: Tak?

Paul: Zacząłem zbierać wszystkie dostępne informacje na ich temat. Czytałem książki o nich, ale te dość prędko się wyczerpały, ich autorzy i tak większość przepisywali od siebie nawzajem. Zacząłem szukać oryginalnych dokumentów. Protokołów z przesłuchań, raportów ze śledztwa, dokumentacji procesowej. Wtedy byłem już nieco starszy, miałem trzynaście, czternaście lat. Pisałem do archiwów z prośbą o przysłanie kopii, podróżowałem do miast, w których przebywali sprawcy, brałem udział w oprowadzaniu i odwiedzałem miejsca zbrodni.

Sheldon: Pana ojczym...

Paul: Przybrany ojciec. Skapitulował. Moi przybrani rodzice... Zawsze byli... bardzo wyrozumiali, rozumie pan?

Sheldon: Tak?

Paul: Ależ oczywiście. Mój przybrany ojciec, jak wspomniałem, musiał zdawać sobie sprawę, że to było coś w rodzaju chorej fascynacji, której sam nie umiałem zwalczyć – nie mówiąc o nim. Musiałem to po prostu robić, musiałem wiedzieć więcej o mężczyznach, o sprawcach – co ich napędzało, co myśleli, jak działali. Inni chłopcy w moim wieku spędzali po trzy godziny dziennie na boisku. Mnie to nie interesowało. Zacząłem się pograżać w tym świecie, który... który zaczął porastać ściany mojego pokoju niczym jakiś liszaj. Wieszaleam zdjęcia sprawców, miejsc zbrodni, ofiar, obok przyklejałem kopie protokołów, akt dotyczących śledztw i wycinki z gazet. Przekształciłem swój pokój w coś w rodzaju jaskini. Kiedy wchodziłem do tego refugium, ten odkryty przeze mnie świat praktycznie zamykał się nade mną. A ja to uwielbiałem. Uwielbiałem to uczucie, jakbym miał na karku oddech zabójcy. Nie wiem, ciągle zadawałem sobie pytanie: Dlaczego? Dlaczego nie chciałem robić nic innego, niż poruszać się w tej rzeczywistości,

i myślę... ostatecznie sądzę, że w ten sposób chciałem być blisko niej. Nie uważa pan?

Sheldon: Blisko niej? Tej rzeczywistości?

Paul: Owszem, tej rzeczywistości, ale przede wszystkim blisko kobiety, która... no wie pan.

Sheldon: Ma pan na myśli... ją... pana matkę? Chciał pan w ten sposób zbliżyć się do niej?

Paul: Tak?

Sheldon: To całkiem możliwe, Paul, absolutnie.

1

Cztery tygodnie później

– Cholera!

Wcisnął hamulec.

Krople, wielkie jak orzechy, bębniły w blaszany dach samochodu. Wycieraczki ledwie nadążały ze zbieraniem wody. Paul nachylił się nad kierownicą i przetarł rękawem swetra zaparowaną szybę. Parę kroków dalej zauważył niewyraźną sylwetkę porządkowego w neonowopomarańczowej kamizelce; dawał mu znaki.

Paul opuścił szybę po stronie pasażera i zawołał, próbując przekrzyczeć deszcz:

– Tutaj? Mogę tu zaparkować? – Porządkowy miał głowę zwróconą w jego stronę, lecz w mroku Paul nie mógł rozpoznać jego twarzy. Mężczyzna spokojnie pomachał brudnożółtą lampą ostrzegawczą. – To jak?

Bez odpowiedzi. Woda gęstymi strugami wlewała się do wnętrza wozu i wsiąkała w fotel. Paul usiadł prosto i ostrożnie dodał gazu. Samochód przednim

lewym kołem wyrznął z łoskotem o jakąś przeszkodę, a po chwili coś uderzyło w podwozie. Paul schował głowę w ramiona i pojechał dalej. Przed sobą, przez gęstą zasłonę deszczu, dostrzegł mur nabrzeża, za którym rozciągała się ciemnoszara przestrzeń, niknąca gdzieś między migoczącymi kroplami a niebem.

Zatrzymał się, zaciągnął ręczny hamulec, wyszarpnął kluczyki ze stacyjki i sięgnął po plecak. Był już spóźniony dziesięć minut, nie mógł dłużej szukać parkingu. Pośpiesznie otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu. Jego twarz w okamgnieniu zalała się wodą, włosy przywarły do głowy jak czepek. Zatrzasnął drzwi, zablokował zamki, przerzucił plecak przez ramię i podbiegł do porządkowego.

– Prom do... – *Parku morderców*, przemknęło mu przez myśl. – Rupert Levin, prom na imprezę prasową. Wie pan, skąd odbija?

Mężczyzna miał na sobie kapelusz przeciwdeszczowy z szerokim rondem; stał tak, że światło portowego reflektora skrywało jego twarz w cieniu.

– Widzi pan te światła ostrzegawcze? – wrzasnął Paulowi w twarz, żeby przekrzyczeć szum deszczu i huk fal rozbijających się o nabrzeże. – Jeśli pan się pośpieszy, powinien pan zdążyć.

Paul rozpoznał wybijającą się w ciemności niewyraźną burtę statku, cumy przytrzymujące stalowy kolos. Ruszył pośpiesznie w kierunku światła. Krople z impetem uderzały o beton, rozpryskując wodę z ka-

łuź. Czy dobrze widział, że tam, w górze, stoją dwaj mężczyźni?

– Stop! Zatrzymać się! – krzyknął. – Muszę wejść na pokład. Paul Greenblatt!

Cienie popatrzyły na niego ponad burtą. W odpowiedzi rozległ się zgrzyt; podnoszony już trap opuścił się z powrotem na nabrzeże. Paul w pośpiechu wszedł na mostek, mocno trzymając się lodowatych stalowych linek, służących za barierkę. Słyszał chłupot fal w dole. Wszedł na pokład po sprężynującym pod jego krokami trapie. Lekko zbity z tropu niezwyčajnym kołysaniem się podłoża, obejrzał się za siebie i zobaczył, że statek odbija od brzegu. Z wnętrza kadłuba dobiegało głucho dudnienie silnika. Paul przetarł oczy, ale światła ostrzegawcze, które doprowadziły go do promu, zostały już połknięte przez krople deszczu.

– Pan Greenblatt, Paul Greenblatt?

Odwrócił się. Kobieta trzymała wielki czarny parasol. Światło sączące się przez okno z wnętrza statku wycięło z ciemności trójkąt jej twarzy.

– Tak?

– Cieszę się, że jednak pan zdążył. Constance Parker, rozmawialiśmy przez telefon.

– Wspaniale, Constance. – Paul wziął głęboki wdech.

– Proszę za mną. Pozostali są już w środku. – Kobieta skinęła głową w kierunku okien, za którymi widać było pomieszczenie dla pasażerów. W rzędach

siedziała garstka mężczyzn i kobiet. Otworzyła ciężkie przeszklone drzwi do kajuty.

– ...szprycował trucizny, czasem wstrzykiwał pod skórę skoncentrowany kwas siarkowy, czasem pewne rodzaje ługu...

Sztuczne światło w kabinie pasowało do ciepłego powietrza. W przedniej części pomieszczenia przy pulpicie stała na oko czterdziestoletnia kobieta, wskazując na zdjęcie wyświetlane przez rzutnik na tablicę.

– Proszę usiąść, Paul – szepnęła Constance. – Porozmawiamy później.

– Przez jakiś czas ograniczał się do dłoni – podjęła kobieta. – Najwyraźniej interesowało go, jak tkanka reaguje na kwas.

Paul usiadł na krześle przy przejściu.

– Później Bohner koncentrował się na rejonach brzucha, łydek i pośladków. – Głos kobiety był jasny i klarowny. – Mamy dość dużą wiedzę na temat tego, jak przeprowadzał wstrzyknięcia, w jakiej kolejności, w jakich odstępach, wszystko to udało się zrekonstruować post mortem. Co jednak dokładnie nim kierowało, jaką potrzebę, jeśli mogą tak się wyrazić, chciał w ten sposób zaspokoić? Odpowiedź na to pytanie jest znacznie trudniej znaleźć.

Paul zdjął okulary, wyciągnął ze spodni rąbek koszuli i zaczął przecierać szkła. Usłyszał ciche kliknięcie towarzyszące wyświetleniu kolejnego slajdu.

– Mamy ustalenia odnośnie do poparzeń chemicznych na głowie, twarzy i w jamie ustnej...

Założył okulary. Powędrował wzrokiem do nowego zdjęcia na ekranie i poczuł, jak ściska mu się żołądek.

– ...wydawało się istotne, że ofiary wciąż żyły, stąd adrenalina – ciągnęła kobieta. – Jednocześnie najwyraźniej zależało mu na tym, by doprowadzić ofiary jak najbliżej progu śmierci. Z jednej strony poparzeniami i wstrzyknięciami, z drugiej poprzez podanie płynów pobranych ze zwierzęcych trupów. Celem tego było, w pewnym sensie, wywołanie... choroby.

Kolejne kliknięcie, kolejny slajd. Tym razem obraz przedstawiał ranę, maleńką, ledwie ukłucie. Skóra wokół niego była jednak zaczerwieniona.

Infekcja, pomyślał Paul. *W ranę wdała się infekcja.*

– Także eksperymenty z rybią ikrą, które Bohner przeprowadzał w ciągu ostatnich miesięcy przed swoim aresztowaniem, w gruncie rzeczy dają się wyjaśnić tylko tak. – Kobieta odwróciła się od słuchaczy i popatrzyła na wyświetlony obraz. – Widzimy wycięty w powłoce brzusznej kobiety otwór, w którym Bohner umieścił ikrę. Tego... działania również nie da się wytłumaczyć inaczej niż tylko tym, że... mówiąc w wielkim skrócie, Bohner chciał jak najdłużej utrzymać ofiary na granicy śmierci. Chodziło mu o to, że dla każdego żywego organizmu, czyli również dla człowieka, czas trwania na granicy śmierci będzie różny. Każdy zbliża się do niej w inny sposób. Ten aspekt, jak się wydaje, był dla Bohnera bardzo istotny. Tak, odno-

siliśmy wręcz wrażenie, że bliskość śmierci wywoływała w nim coś w rodzaju podniecenia seksualnego. Innymi słowy, w pewien sposób próbował przybliżyć śmierć, by następnie, kiedy ofiara już... – Mówczyni odwróciła się z powrotem do audytorium i zaznaczyła palcami cudzysłów – ...migotała, jak to się określa u pacjentów z porównywalnymi obsesjami... A zatem próbował połączyć się z ofiarą, kiedy już migotała. W znaczeniu interakcji seksualnej, w momencie, gdy ofiara znajdowała się na skraju śmierci. – Milczała przez chwilę, z namysłem wodząc wzrokiem po zebranych. – Ten moment zjednoczenia jest niejako jądrem czy też punktem zbiegu świata myśli i fantazji Jeffa Bohnera – podjęła w końcu. – Chciał osiąść swoje ofiary seksualnie, podczas gdy staczały się one ku śmierci. Dlatego tak pedantycznie pilnował, by jak najbardziej opóźnić moment zgonu. Jakby chciał zsynchronizować ten punkt z własnym szczytowaniem. Jakby chciał penetrować ofiarę równocześnie ze śmiercią. Jakby chciał sam tę śmierć – jeśli wyobrazimy sobie śmierć jako postać, która w chwili zgonu bierze ofiarę w posiadanie – a zatem jakby chciał sam seksualnie wejść w tę postać.

Paul nadal wbijał spojrzenie w zainfekowaną ranę. Odnosił wrażenie, że jego twarz jest trochę odrętwiała. Jakby była do niej przyszyta druga skóra. Jakby końcówki synaps nie docierały do zewnętrznej warstwy.

– Przepraszam – usłyszał swój własny głos, docierający jakby z zewnątrz – czy mogłaby pani... to zdjęcie...

– Tak? – Kobieta przy pulpicie skierowała na niego wzrok.

– Czy mogłaby pani usunąć z ekranu to zdjęcie? Jest bardzo niepokojące.

Paru innych słuchaczy odwróciło się w jego stronę.

Czy to kołysanie promu? Statek tak falował, że Paul poczuł się, jakby jego żołądek szybował. Kobieta mówiła dalej, ale on nie zwracał już na nią uwagi. Chwyił mokry plecak, wstał i niepewnym krokiem skierował się ku wyjściu. Otworzył ciężkie, przeszkło-
ne drzwi i wyszedł na zewnątrz. Oparł się o reling i głęboko wciągnął w płuca chłodne nocne powietrze.

– Paul, wszystko w porządku? Źle się pan czuje?

Zamrugał. Obok przechylała się przez burtę Constance.

– Nie. Dziękuję, wszystko w porządku...

– To mocne zdjęcia, wiem. – Popatrzyła na niego ze współczuciem. – Sugerowałam Kate, że nie wszyscy chcą oglądać takie szczegóły. Ale ona była zdania, że koloryzowanie czegokolwiek nie byłoby właściwe.

Paul przejechał dłonią po ustach i popatrzył w otchłań. Kadłub statku rozcinał spienione migotliwe fale.

– Kate brała udział w śledztwie, wie pan? Kate Myerson. Myśleliśmy, że to może być ciekawa rzecz,

gdymby przygotowała coś w rodzaju wykładu o okolicznościach zbrodni.

– Tak... jasne. – Kiedy statek przechylał się na boki, reling delikatnie wrzynał się w brzuch Paula.

– Powinna zaraz skończyć. Potem parę słów po wie Beth. Beth Hoffman. Zna ją pan?

Rybia ikra w brzuchu, wkładanie ikry pod powłokę...

– Hoffman? Tak... To znaczy nie osobiście, slyszalem tylko jej nazwisko.

– Dwa lata temu wydała publikację poświęconą różnym zbrodniarzom z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, ale też Bohnerowi. Bardzo nam pomogła przy koncepcji parku. Poprosiliśmy ją, żeby umieściła go w kontekście historycznym. Ma ze sobą materiał filmowy, ale myślę...

– Constance, serio, zaraz wróć do środka, proszę się mną nie przejmować. – Paul popatrzył w ciemnobrązowe oczy kobiety. – Czuję się dobrze. – Odetchnął głąboko. Świeże morskie powietrze podziałało orzeźwiająco. W kabinie panował taki zaduch, że zrobiło mu się słabo; teraz czuł się o wiele lepiej.

– Okay. – Uśmiechnęła się. – Powinniśmy wkrótce dotrzeć na miejsce. Za jakieś dwadzieścia minut.

Skinął głową. Constance wróciła do kabiny.

Zatrzymał wzrok na plecaku złożonym u swych stóp. Podniósł go, oparł o barierkę i rozsunął suwak. W środku oprócz ubrania na zmianę znajdowała się

teczka. Wyjął ją i otworzył. Było w niej kilka zszytych spinaczem stron wypełnionych tekstem, wielkoformatowe błyszczące fotografie, a nawet długopis. Teczka dla mediów z materiałem informacyjnym, którą przysłała mu Constance.

„Murder Park”. Logo było wyraźnie widoczne na wszystkich prospektach i na długopisie. Pod spodem widniał tytuł „Twój weekend z zabójcą”. Najwyraźniej takie było hasło reklamowe będące częścią znaku firmowego.

Paul przerzucił kartki. Do formularza ze zgodą, którego kopię musiał podpisać, aby zwolnić organizatora ze wszelkich roszczeń z tytułu odpowiedzialności, podpięto kartkę z kilkoma słowami powitania. Przebiegł wzrokiem linijki i przeskoczył do końca tekstu.

Podpisano: „Wasz Rupert Levin”.

Paul odwrócił kartkę. Jego oczom ukazała się błyszcząca fotografia wyspy w blasku słońca. Strome wybrzeże pod oślepiająco błękitnym niebem.

Zauważył, że jego dłoń, trzymająca kartkę, lekko drży. Zdjęcie słonecznej wyspy rozmyło mu się przed oczami. Mimowolnie przejechał wolną ręką po czole, jego ramionami wstrząsnął dreszcz.

Paul, nie!, usłyszał całkiem wyraźnie. Zostań w swoim pokoju, Paul! Na miłość boską! NIE!

Wywiad filmowy 2 z 12

Skorpion

Imię i nazwisko: Constance Parker

Wiek: 35 lat

Zawód: rzeczniczka prasowa

Sheldon: Pamięta pani swój pierwszy pobyt na wyspie, Constance? Pytam, ponieważ to dla nas szczególnie ważne. Jak się wówczas nazywała ta wyspa?

Constance: Zodiac Island. To naprawdę rzucało się w oczy. Cały park, a wtedy właściwie wesołe miasteczko... cały park podzielony był na sektory według dwunastu znaków zodiaku. Wie pan, Skorpion, Waga, Ryby i tak dalej. Mieli nawet na terenie wybieg dla prawdziwego lwa! Pamiętam ten moment, kiedy zobaczyłam znak Skorpiona, był zrobiony z neonowych świateł; świecący na pomarańczowo skorpion, który wznosił się na stelażu wysoko nad południową połowę wyspy. Widzieliśmy go, jak płonął w wieczornej mgle, kiedy zbliżaliśmy się promem do wyspy. Chwyciłam mamę za rękę i ścisnęłam mocno, bez słowa. Pamiętam to dobrze, po prostu ścisła-

łam ją za rękę i czułam, jak stoi obok mnie, wpatrując się w tego skorpiona.

Sheldon: Ile miała pani wtedy lat?

Constance: To były moje szesnaste urodziny. Moim życzeniem było pojechać na Zodiac Island; koleżanka ze szkoły opowiadała mi o wyspie. Wyjątkowo przemawiały do mnie wtedy te znaki zodiaku. Cała wyspa pod znakiem gwiazd, to było takie... romantyczne, albo... sama nie wiem... tajemnicze? Nie wierzę w horoskopy i te wszystkie bzdury. Nigdy w to nie wierzyłam i dziś też nie wierzę, w mojej rodzinie ten temat nie istniał, ale lubiłam Zwierzyńiec Niebieski, podobały mi się małe obrazki, za pomocą których przedstawia się dwanaście znaków, podobało mi się, jakie są różne, i to, że są symbole ludzkie i zwierzęce, i podobało mi się... tak, może najbardziej ze wszystkiego podobało mi się, że nasz los dzięki tym prostym znakom jest związany z gwiazdami. Zupełnie jakby nagle została odsłonięta tajemnica powiązań, wie pan? Powiązań między nieskończonymi światami uniwersum i nami, a także drogą, którą... nie chcę się rozwodzić...

Sheldon: Ależ skąd, Constance, proszę. To bardzo piękne, co pani mówi: nasz los i nieskoń-

czoność wszechświata... Dobrze to rozumiem...

Constance: Dzisiaj już nie powiedziałabym tak, ale wtedy miałam piętnaście, szesnaście lat... Kiedy jest się dzieckiem, napiera na człowieka tyle rzeczy, których się nie rozumie i wobec których jest się zupełnie bezradnym. Ale znaki rozumiałam. Mój znak – Skorpion, jad, niebezpieczeństwo. Bliźnięta, Lew i Koziorożec, to się da ogarnąć, a mimo to dotyczy wszystkich ludzi, bo przecież nie ma nikogo, kto nie byłby spod jakiegoś znaku. Podobała mi się perspektywa zwiedzenia parku rozrywki, który był poświęcony zodiakalnej tematyce i podporządkowany Zwierzyńcowi Niebieskiemu. Właśnie dlatego poprosiłam rodziców, czy nie moglibyśmy tam pojechać w moje urodziny. Wtedy jeszcze na wyspie można było nocować; był tam hotel, który stoi do dziś, oferował mnóstwo pokoi, no i był jeszcze duży camping, z którego korzystało wielu odwiedzających. Można tam było spać i zostać w parku tak długo, ile się chciało. Pojechalśmy z moim ojcem, bratem, no i oczywiście z mamą. Myślałam, że to będą najpiękniejsze urodziny w moim życiu, a okazało się, że wręcz przeciwnie.

Sheldon: Minęło już dwadzieścia lat, prawda?

Constance: Tak. Tak, zgadza się.

Sheldon: A dlaczego okazało się, że to nie były pani najpiękniejsze urodziny? Co się stało?

Constance: To pan nie wie?

Sheldon: Zgromadziliśmy trochę informacji, to prawda. I wybraliśmy panią, Constance, ponieważ w liście motywacyjnym wspomniała pani, że była kiedyś w dawnym parku. Pan Levin chciałby uratować i odtworzyć w nowym parku jak najwięcej z dawnej atmosfery Zodiac Island. Być może mogłaby nam pani w tym pomóc, bo była pani tam, doświadczyła tego na własnej skórze. Ale co dokładnie się wydarzyło, kiedy była pani na wyspie, tego nie wiem.

Constance: Okay...

Sheldon: Nie chce pani o tym mówić?

Constance: Ależ tak, owszem, tylko...

Sheldon: Tak?

Constance: Nie jestem pewna...

Sheldon: Wspomniałem o tym na początku naszej rozmowy, prawda? Wszystko, co pani tu powie, podlega ścisłej tajemnicy. Może być pani tego całkowicie pewna. Nic się nie przedostanie na zewnątrz z kręgu osób odpowiedzialnych za projekt Murder Park.

Mam jednak nadzieję, że rozumie pani, iż mimo wszystko chcielibyśmy wiedzieć, kogo zapraszamy do naszego zespołu. Tak jak mówiłem, chodzi o stanowisko rzecznika prasowego. Samodzielnie odpowiadałaby pani za całość kontaktów z mediami. Przeprowadziliśmy już rozmowy z szeregiem innych kandydatów, ale sądzimy, że to pani mogłaby być odpowiednią osobą, Constance. Co pani o tym sądzi? Opowie mi pani, co się wydarzyło dwadzieścia lat temu?

Constance: Kiedy prom przybił do brzegu, było już prawie ciemno. Wyobraża pan to sobie? To był weekend, na promie mnóstwo rodzin, które przyjechały na wyspę. Zeszliśmy na brzeg i już tam, w małym porcie, w zatoczce, do której zawinął statek, stały budki, gęsto – jedna przy drugiej. Wszystko wyglądało jak ozłoczone blaskiem padającym ze straganów na portową promenadę. Ludzie spacerowali, pachniało słodyczami i świeżym jesiennym powietrzem. Grała muzyka w najróżniejszych stylach, z od dali dochodziło turkotanie kolejki górskiej, głosy i śmiechy. Panowała pokojowa atmosfera, było przepięknie. Szum fal mieszał się z innymi dźwiękami, ale nie było

słysząc samochodów. Tylko ludzie, morze i maszyny, pisk wyrzucanych w powietrze przez obracającą się karuzelę, „paf-paf” dochodzące z bud ze strzelnicami, brzęk przewracanych puszek. Byłam... serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, tak bardzo byłam podekscytowana. Ani na moment nie puszczałam ręki mamy. Nigdy nie zapomnę, jak cała nasza czwórka, mama, ojciec, ja i mój brat, ramię w ramię, szliśmy szeroką drogą od portu w górę, gdzie nad terenem parku wznosił się hotel, w którym ojciec zarezerwował dla nas nocleg. Wzdłuż drogi stały budy i atrakcje, a ja nie wiedziałam, gdzie mam patrzeć. Czy na budę, przed którą mężczyzna w wysokim kapeluszu zapowiadał występ kobiety bez podbrzusza? Na karuzelę z prześlicznie błyszczącymi drewnianymi konikami, na których siedziały maluchy? Na autodrom, gdzie zderzały się śmieszne samochodziki na prąd, a wyrostki, roześmiane chłopaki w moim wieku, siedziały odważnie na tylnych siedzeniach? Mijaliśmy to wszystko, aż w końcu przystanęłam przy jednej z atrakcji. Ciemna fasada wznosiła się ku czarnemu niebu na wysokość trzech pięter, a z balkonu nad głowami przechod-

niów wychylała się jakaś postać. Miała ze dwa metry wzrostu, a na ramieniu trzymała sierp... albo kosę. To była śmierć – pod szorstką tkaniną mogłam rozpoznać czaszkę i kości, kości ramion wystające przez materiał. Nie pamiętam już, dlaczego poprosiłam rodziców, żebyśmy zatrzymali się akurat tam. Czy to przez pobrękiwanie łańcuchów na balkonie? Przez księżyc, błądy i wielki, który wzeszedł nad szczytem fasady? A może zobaczyłam, że już prawie dotarliśmy do hotelu, i wiedziałam, że to ostatnia okazja, by tego dnia jeszcze coś przeżyć? W każdym razie nie chciałam iść do pokoju, chciałam zwiedzać wyspę, patrzeć na ludzi spacerujących alejkami, wdychać słodkie wieczorne powietrze. Odwróciłam się do ojca i skinęłam głową w stronę tuneli strachu, przy których przystanęliśmy. „Tato, proszę, nie moglibyśmy raz się przejechać? To na pewno nie potrwa długo”, powiedziałam. A nade mną stała śmierć w czarnej pelerynie, z kościstą twarzą zwróconą w moją stronę, i gapiała się na nas.

Sheldon: I ojciec się zgodził? Przejechaliście się tą kolejką?

Constance: Tak, przejechaliśmy się. Nikt nie czekał

do kasy i ledwie ojciec zapłacił, od razu dostaliśmy wagonik. Pojazd podjechał na szynach, ktoś pomógł nam wsiąść i ruszyliśmy. Dobrze pamiętam, jak niemal ukłuło mnie w sercu, kiedy wagonik zanurzył się we wnętrzu zamku. Fasada? Była stylizowana na upiorne zamczysko, ze zbrojami rycerskimi, pajęczynami i okropnymi narzędziami tortur. Tak to wyglądało z zewnątrz. Ale w środku nagle zrobiło się kompletnie ciemno. Dał się słyszeć krzyk i oślepił mnie jaskrawy błysk światła. Siedziałam obok ojca i przywarłam do niego mimowolnie. Jechał pan kiedyś kolejką strachu? Nagle pojawiła się ogromna gęba jakiegoś... sama nie wiem, co to miało być... może zombie, twarz, z której zwiślały strzępy tkanki. Zbliżała się, nasz wagonik pędził prosto na nią, błyskało światło, migotało, tak że wyrywkowo widziałam się ruchy tej twarzy. A potem poczuliśmy nagły podmuch, uderzenie – i już ją minęliśmy, wagonik zaturkotał i pojechał dalej. Chciałam zawołać „Stop! Zaraz, nie tak szybko! Czy mogłabym się cofnąć, nie jestem... NIE JESTEM PEWNA, to wszystko dzieje się za szybko”. Za mną siedzieli brat i mama, ale ich nie słyszałam,

byłam jakby otulona dźwiękami z czarnego tunelu. Jak zahipnotyzowana wpatrywałam się w ciemność przede mną, w ciemność, w którą pędziliśmy.

Sheldon: [potakuje]

Constance: Tak.

Sheldon: Może chce pani łyk wody, Constance? Moja asystentka zostawiła nam karafkę.

Constance: Tak, dziękuję... To dobrze.

Sheldon: Co się stało potem?

Constance: Halloweenland – tak się nazywała kolejka strachu. Naprawdę mocne wrażenia. Było w niej mnóstwo takich efektów, jak nosy z papierowej masy, błyskawice i powietrzne wiry. Były żywe straszaki i ostre zakręty. To wszystko było... czar lunaparku, wie pan? Trzymałam się taty, on otoczył mnie ramieniem, a po paru pierwszych sekundach zaskoczenia jazda zaczęła mi się podobać. Nic nie mogło mi się stać. Wiedziałałam, że jestem bezpieczna. Musiałam tylko pozwolić się wieść. I wtedy nagle nasz wagonik stanął. To był ten moment, w którym pojęłam, że coś jest nie tak. Że jednak nie mogę polegać na bezpieczeństwie.

Sheldon: Nie przyszło pani do głowy, że zatrzymanie wagonika to jeden z efektów?

Constance: W pierwszej chwili tak. Ale potem... Siedzieliśmy w ciemności i słyszeliśmy głosy

innych ludzi. Ledwie wagoniki stanęły, ustały też błyski światła i efekty dźwiękowe. Dosłownie czuło się, że coś jest nie w porządku. Nie zapaliło się światło ani nic. Nadal panowała kompletna ciemność. I nagle – nigdy tego nie zapomnę – przez głośniki rozległ się komunikat: „Szanowni państwo, prosimy o zachowanie spokoju. W tunelach znajduje się mężczyzna, wyjaśniamy sytuację. Za chwilę jazda będzie kontynuowana”. Mężczyzna w tunelach. Popatrzyłam na ojca, ale w mroku nie mogłam rozpoznać wyrazu jego twarzy. „W tunelach znajduje się mężczyzna”. Dosłownie widziałam go przed sobą. Jak stąpa po szynach, przemyka obok wagonika, chowa się za figurami woskowymi, oblany mi sztuczną krwią. Patrzyłam przed siebie, mrużyłam oczy. Tam? Tamten cień w cieniu? „Okay, tu szef ochrony”, przemówił znowu głos. „Prosimy o uwagę, jazda nie może być kontynuowana”. Usłyszałam jęki zawodu, ale wciąż było ciemno, bardzo ciemno. I gorąco. „Wysyłamy do tuneli pracowników z latarkami”, obwieścił głos. „Proszę opuścić wagoniki dopiero wtedy, gdy dotrze do państwa ktoś z obsługi, kto wyprowadzi was na zewnątrz”.

Sheldon: Tak, chyba o tym słyszałem. To był piątek wieczorem, prawda? Piątek przed zamknięciem parku.

Constance: Może pan sobie wyobrazić, jakie to było nieprzyjemne! Wokół ciemno, choć oko wykol. Ojciec był zdania, że nie ma sensu czekać, aż ktoś się zjawi przy naszym wagoniku. Wiedzieliśmy, że w tunelach jest jakiś mężczyzna. Czy byliśmy bezpieczni? Nie było nawet widać, jaka odległość dzieli nas od podłogi. Jakiej podłogi? Którędy przebiegają szyny, czy jest coś w rodzaju chodnika? Chyba nie do końca wyłączyli elektrykę, bo słychać było ciche brzęczenie, jak pod linią wysokiego napięcia. Czy biegnie tam jakaś szyna pod prądem, na którą nie wolno stanąć? Słyszeliśmy w ciemności, że inni ludzie też nie zamierzają czekać w wagonikach, że chcą jak najszybciej wysiąść z tej kolejki, wyjść z tego przerażającego mroku. Tata pomógł mi wysiąść, a ja podałam rękę mamie, żeby i ona mogła się wygramolić na zewnątrz. Najpierw szliśmy gęsiego, z tatą na przedzie i bratem na końcu, po omacku brnęliśmy przed siebie. Potem coraz trudniej było nam utrzymać równowagę, więc puściliśmy się i uważaliśmy tylko, żeby nie oddalić się zbyt od

siebie. Jedno tłuło mi się po głowie: co powiedział przez głośniki ten człowiek? „W tunelach”. TUNELACH. Czyżby był nie jeden tunel, po którym jeździły wagoniki, tylko kilka?

Sheldon: Ile czasu minęło, zanim znalazła pani wyjście?

Constance: Tak...

Sheldon: Tak?

Constance: Trwało to dłużej, niżbym sobie życzyła. Staralam się zostać w pobliżu rodziny, ale... W pewnym momencie usłyszeliśmy za sobą dźwięk, jakby wagoniki ruszyły w naszą stronę. Odskoczyłam na bok, bo miałam wrażenie, że stoję na szynach; za wszelką cenę chciałam uniknąć zderzenia z żelaznym wózkiem. Turkot oddalił się jednak, może wagonik tuż za nami został skierowany w inną odnogę. Potykając się, brnęłam dalej, aż w końcu się zorientowałam, że nie słyszę obok kroków rodziców i brata. A kiedy zaczęłam ich wołać, kiedy wyciągałam w ciemności ręce, szukając czegoś, czego mogłabym się przytrzymać, zdałam sobie sprawę, że zabłądziłam.

Sheldon: Zabłądziła pani w tunelu strachu?

Constance: Kiedy wołałam, odpowiedzi dolatywały ze wszystkich stron, co dezorientowało mnie

jeszcze bardziej. Dlatego ucichłam i próbowałam znaleźć drogę na własną rękę.

Sheldon: Niełatwe zadanie. Oglądałam kiedyś plan starego Halloweenland, to była bardzo skomplikowana trasa, w ogóle cały ten obiekt... Nigdy do końca nie zrozumiałem, na jakiej zasadzie decydowali, którzy puszczają poszczególne wagoniki.

Constance: W tamtej chwili było mi to zupełnie obojętne. Było ciemno, zgubiłam rodziców i brata – a w tunelach był mężczyzna. Ta myśl przez cały czas tłukła mi się po głowie. Mężczyzna w tunelach. Czy to jego oddech czułam na karku? Jego rękę na plecach? Na udzie? Cienie na podłodze zdawały się więc niczym węże, a ściany wokół mnie wyglądały na mokre i oślizgłe. Ale nie miałam wyboru. Wiedziałam, że muszę jak najprędzej wydostać się z tunelu. Co zrobią, kiedy wszyscy już wyjdą na zewnątrz? Zamkną go? Ze mną w środku? Przerażało mnie to – biegłam, potykałam się, upadłam, obtarłam kolano, wstałam, wyrwałam naprzód, uderzyłam o coś głową, obróciłam się, wpadłam na ścianę, odwróciłam się w drugą stronę, znalazłam jakieś przejście, goniłam dalej. Aż w końcu zauważyłam, że w mrok przenika mleczna

poświata. Ruszyłam w jej kierunku i zobaczyłam, że dociera ze szczeliny w ścianie tuż nad podłogą. Uklękałam i przyłożyłam głowę do szpary, żeby przez nią wyjrzieć. Za nią rozpościerało się pomieszczenie pełne luster i szyb, zalane mętym, niewyraźnym światłem. Nie było tam figur woskowych ani masek unoszących się w półmroku, nie było urywanych, marionetkowych ruchów figur i maszyn, tylko powolniejsze, bardziej posuwiste, żywsze ruchy – niemal zwierzęce. I było słyhać, że się ślizgają, posuwają, jęczą...

Sheldon: Kto?

Constance: Mężczyźni... i kobiety, ściskający się po kątach.

Sheldon: Wiem, co to było! Lustra, mówi pani? I naprawdę nie widziała pani, co... co to były za postacie, które tam... przebywały?

Constance: Panował półmrok, ludzie byli częściowo schowani za załomami. Ale jedną postać widziałam... raczej cień niż mężczyznę, cień w... pelerynie? Miał na sobie długą, czarną pelerynę i gumową maskę ze szpiczastymi uszami. Facet był przebrany za Batmana... za superbohatera!

Sheldon: Tak, naturalnie, to była wydzielona, nieoficjalna część kolejki strachu, nazywana

Circle Room, ponieważ była okrągła – okrągła i wyłożona lustrami. Zodiac Island był przedsięwzięciem rodzinnym, ale pod koniec park cienko prządl finansowo. Dlatego, jak dziś wiadomo, dyrekcja postanowiła urządzić Circle Room. Bez wielkiego szumu, nie mieli o tym wiedzieć wszyscy, tylko wybrani, ci, którzy wchodzili w grę. Głównie ojcowie rodzin, którzy podczas rodzinnego wypadu chcieli przeżyć coś ekstra. To dla nich urządzono ten labirynt luster. Kobieta-kot? Superman? Spiderman? Żaden problem! Wybieraj! Chcesz się kochać z Marilyn Monroe? Z Kapitanem Ameryką? Z Chewbaccą? W zasadzie wszystko było możliwe. Przy czym niemal wszystkie kobiety to były call girls. I zaglądała tam pani przez szparę?

Constance: Byłam tak zaskoczona, że w pierwszej chwili nie mogłam się oderwać. Ludzie po drugiej stronie najwyraźniej nie mieli pojęcia, co się dzieje w kolejce strachu. Byli bez reszty zajęci sobą. A kiedy dziewczyna w szkolnym mundurku, z uszami myszki jak z mangi, sprawia, że Hulk dyszy głośno z podniecenia, to wszystko wokół przestaje istnieć. Mieliśmy wprawdzie jesień, ale nie nastąpiły jeszcze chłody, a w środku sku-

mulował się żar całego dnia. Klęczałam na podłodze, moje dłonie były mokre, po bokach też spływał mi pot. Czułam własne serce, mocno bijące z emocji, czułam, jak łapczywie chwytam powietrze – i nagle poczułam też, że nie jestem sama. Gdy miałam się obrócić, czyjeś ręce docisnęły moje ramiona do ziemi. Coś przywarło do mnie od tyłu. Otworzyłam usta, żeby krzyknąć, ale czyjaś dłoń prześliznęła się po moim mokrym policzku i zasłoniła mi usta. Poczułam, jak twarde ciało mężczyzny przywiera do moich pleców. Jak ręka, twarda niczym ze stali, zatyka mi usta. Jednocześnie w pomieszczeniu, które wciąż widziałam przez szparę, zamigotało światło. Błysnęło, zabrzęczało i zabzyczało – i nagle biała, blada poświata czterech jarzeniówek przymocowanych do sufitu rozlała się po pomieszczeniu i unurzała w bezlitosnym blasku wszystkich Batmanów, Marylin, potwory i inne zabawiające się ze sobą postacie. Makijaż, plastik, gumowe maski, nylonowe peleryny, brzuchy pod tanimi kostiumami Spidermana, zmarszczki pod przepoconymi perukami. W środku pojawili się dwaj pracownicy ochrony i włączyli jarzeniówki. W swoich granatowych uni-

formach rzucali się w oczy; wydawało się, że doskonale wiedzą, co się dzieje w tym pomieszczeniu.

Sheldon: Oczywiście, dyrekcja parku wiedziała o Circle Room. Skoro jednak kazano wszystkim opuścić kolejkę strachu, to dla tego pomieszczenia nie mogło być wyjątku. Co zrobiła ochrona? Ewakuowała wszystkich?

Constance: Tak to wyglądało. Kazali tym ludziom wyjść...

Sheldon: A... ten mężczyzna, który panią napastował – kim on był?

Constance: Wtedy tego nie wiedziałam, ale... już w tamtym momencie przyszło mi do głowy, że to on. To ten mężczyzna, o którym mówił szef ochrony, mężczyzna w tunelach.

Sheldon: On był z panią, kiedy po drugiej stronie ściany ochrona kazała wszystkim opuścić Circle Room!

Constance: Nie mogłam krzyżeć, bo zasłaniał mi usta. Miałam próbować ugryźć go w palec? A jeśli zacząłby mnie dusić? Czułam, że jest bardzo silny! Miałam mętlik w głowie. Co powiedzą moim rodzicom? Że kłęczałam przy szczelinie i zaglądałam do tamtej nory? Ludzie tymczasem wycho-

dzili z pomieszczenia, wkrótce opustoszało całkowicie. Zgasło światło, a ja poczułam, jak leżący na mnie mężczyzna rozpina mi dżinsy. Zsunął mi z pośladków spodnie razem z majtkami. Czułam, jak narasta jego podniecenie i czyni go coraz bardziej niecierpliwym, natarczywym, natrętnym. Miałam zaledwie szesnaście lat, ale to nie był pierwszy raz, kiedy... byłam z chłopakiem, z mężczyzną. I... W tym momencie, kiedy poczułam, jak we mnie wchodzi, jak mnie wypełnia... To było tak, jakby coś we mnie pękło, jakby całe to napięcie, skurcz, stwardnienie, którym dałam sobą zawnędnąć, rozplynęły się w gorący syrop, który uczynił mnie giętką i podnieconą, jak nigdy w życiu. Ledwie jednak zdałam sobie sprawę, co się dzieje, mężczyzna, który wziął mnie w posiadanie, oderwał się ode mnie, wycofał, nieomal odtrącił. Poczulałam, jak podmuch powietrza owiewa moje obnażone pośladki, jak korytarz pustoszeje. Mężczyzna zostawił mnie i zniknął w mroku tunelu. Podczas całego zajścia, po równi intensywnego, co wstrząsającego, ani razu nie mogłam spojrzeć mu w twarz. Dzisiaj jednak wiem, że tamtego dnia znaleziono ostatnią ofiarę Jeffa Bohnera, i że

znaleziono ją w Halloweenland, a mężczyzna, z którym byłam, mężczyzna, który wtargnął do tuneli i przez którego zatrzymano kolejkę – musiał być Jeffem Bohnerem, który zostawił tam zwłoki zamordowanej.

2

– Proszę sobie wyobrazić – milion! Milion osób odwiedza corocznie Alcatraz, wyspę więzienie u wybrzeży San Francisco. Ludzi to po prostu interesuje, to historia ich kraju, ale też całej ludzkości. Bo nie ulega wątpliwości: historia przestępczości, morderców, gangsterów i przestępców, ale też ofiar, cierpienia i rozpacz – to jest historia mężczyzn i kobiet, którzy żyli w tym kraju i po części nadal w nim żyją. To nie jest historia prezydentów i generałów, lecz nizin; to przeszłość, z której mimo wszystko w pewien sposób się wywodzimy. – Beth Hoffman przemawiała, stojąc przy pulpicie na wprost rzędów krzeseł. Paul nie mógł zaprzeczyć, że sprawiała wrażenie bardzo zaangażowanej. – Zadaliśmy sobie wiele trudu, by uszanować historię, fakty i świadectwa, dokumenty i przekazy. Podeszliśmy do sprawy poważnie, nie dążąc do waleń rozrywkowych. Wręcz przeciwnie, intensywnie zajęliśmy się sprawcami, ich pochodzeniem, otoczeniem, rozwojem, zadając sobie przy tym pytanie, na kim moglibyśmy się skupić najbardziej. Czyje losy

moglibyśmy przedstawić w sposób maksymalnie plastyczny? Czyją życiową ścieżkę odwzorować najbardziej wyczerpująco? W końcu doszliśmy do wniosku, że w centrum naszej kolekcji powinien się znaleźć Jeff Bohner! Cóż byłoby lepszym miejscem dla realizacji naszego projektu niż dawno opuszczony park rozrywki? Co nadawałoby się na park morderców lepiej niż Zodiac Island, zamknięty od dwudziestu lat lunapark, w którym w latach dziewięćdziesiątych mordował Bohner? Kiedy dotarło do nas, że możemy kupić wyspę – i założyć na niej Murder Park – nic już nie mogło nas powstrzymać! To było to. Strzał w dziesiątkę! Mogliśmy przywrócić Jeffa Bohnera do życia, mogliśmy wskrzesić dawną Zodiac Island, z całym czarem rozrywki, który prysnął, i stworzyć na niej Murder Park, świat, w którym będzie można wejść w myśli, emocje, tęsknoty, marzenia i lęki – tak, nawet lęki! – seryjnych zabójców. Wejść w obsesje Jeffa Bohnera, ale i innych znanych zbrodniarzy, poczynając od Kuby Rozpruwacza poprzez Eda Geina, Teda Bundy’ego, Syna Sama aż po młodszych sprawców, z których niektórzy jeszcze żyli i odsiadywali kary w więzieniach o zaostrowym rygorze. Mogliśmy przywołać ich świat, aby ludzie się w nim zatracili – to był nasz plan, to nasza wiodąca idea.

– Skąd pan wytrzasnął tę wodę?

Paul spojrział w bok. Zanim ponownie zajął miejsce w kabinie, wziął butelkę wody mineralnej z nie-

wielkiego kontuaru w przedsiönku, gdzie wydawano napoje. Teraz popijał ją wolnymi łykami. To przyciągnęło uwagę kobiety siedzącej dwa miejsca dalej w tym samym rzędzie.

– Zaraz po lewej, jak wyjdzie pani z kabiny, na międzypokładzie, czy jak to się zwie. – Uśmiechnął się. Była atrakcyjna. Przechyliła się ku niemu.

– Greenblatt, prawda? Paul Greenblatt? – Zmrużyła ładne oczy.

Skinął głową. Czyżby go znała?

– Lizzie Hillstrom, miło mi. – Wyciągnęła rękę. Jej skóra była miła w dotyku.

– Mnie również. – Paul puścił jej dłoń. Może powinien zaproponować, że coś jej przyniesie?

– Lubię pana blog, Paul.

Jasne. Blog. To tam zobaczyła jego zdjęcie.

– Dziękuję. – Rozciągnął usta w uśmiechu. Prowadził blog od czterech lat, od czasu do czasu pisząc o zabójstwach, rozprawach sądowych albo śledztwach. Gdy zostawiał dla siebie prawa do któregoś ze swych artykułów, to jakiś czas po publikacji umieszczał go na stronie. Czasami jednak zachowywał wyłączność na reportaże o sprawie, która wydała mu się wyjątkowo pasjonująca, pouczająca lub niezwykła.

– Pani również, tak? – Pociągnął łyk wody i skinął głową w jej kierunku.

– Reporterka? Tak. – Kobieta położyła łokieć na wolnym oparciu między nimi i z wdziękiem zwiesiła

dłoń. – Ale nie tylko reportaż policyjny. Robię materiały o różnych sprawach... właściwie o wszystkim, co mnie interesuje. – Zerknęła na mężczyzn siedzących przed nią po skosie. – Pracuję dla telewizji. Pan pozwoli, że przedstawię: Tony i Michael, kamera i dźwięk.

Paul już wcześniej zwrócił uwagę na bardziej postawnego z mężczyzn, tego, którego masywne barki miał tuż przed sobą. Ale to ten smuklejszy, który siedział obok, odwrócił się i wyciągnął do Paula delikatną dłoń. Skierował ku niemu bladą twarz, nieśmiało zerkając spod daszka czapki.

– Michael. Cześć. Jestem dźwiękowcem.

Paul uściskał mu rękę, zanim jednak zdążył odpowiedzieć, mężczyzna odwrócił się z powrotem.

– Naturalnie mieliśmy pewne obawy – ponownie rozległ się głos Beth Hoffman – czy możemy pokazywać takie zdjęcia, czy możemy do tego stopnia wysuwać na pierwszy plan... historię Jeffa Bohnera? Co jesteśmy winni ofiarom, ich bliskim? Czy powinniśmy zataić pewne fakty, może nawet wypaczyć niektóre z nich, aby zatrzeć powiązania z realnymi osobami? – Kobieta zawiesiła głos, aby słuchacze sami odpowiedzieli sobie na te pytania; po chwili podjęła: – Zdecydowaliśmy się tego nie robić. Postanowiliśmy nie ukrywać prawdy, przeciwnie – obnażyć ją... bez upiększania. Dane, fakty, wszystko tak, jak było naprawdę. Było to możliwe między innymi dzięki temu, że mogliśmy liczyć na wsparcie władz śledczych, przede wszyst-

kim na współpracę z Kate Myerson. – Beth spojrzała w stronę kobiety, która zajęła miejsce w pierwszym rzędzie. – Kate, jestem szczerze przekonana, że kiedy wraz ze swymi przełożonymi podjęła pani decyzję o udostępnieniu nam sporych części materiałów ze śledztwa, uczyniła pani sporo dobrego na rzecz ogółu.

– Dobrze, Beth. – Nieduży mężczyzna, na oko pięćdziesięciolatek, wstał ze swego miejsca. – Ogromne dzięki, naprawdę. My też – omiótł spojrzeniem słuchaczy – udzielaliśmy się społecznie. Prawda, Kate?

– To Rupert. Rupert Levin. Zainicjował ten projekt – wyszeptala Lizzie.

Paul też go rozpoznał – zdjęcie Levina było zamieszczone w prospekcie, który znajdował się w materiałach prasowych.

– Ale żarty na bok – ciągnął Levin. – Jestem głęboko przekonany, że moi ludzie i ja stworzyliśmy coś wspaniałego. Za chwilę przekonają się o tym państwo sami.

– Muzeum, o ile dobrze zrozumiałam? – odezwała się Lizzie. Levin popatrzył na nią uważnie. – Muzeum przestępczości, zgadza się? – Paul odniósł wrażenie, że celowo nadała swemu głosowi kokieterijną nutę. – Kiedy przeglądałam teczkę z materiałami prasowymi, pomyślałam, że to coś więcej niż zwykłe muzeum – dodała. – A teraz, gdy tak słucham Beth, to obawiam się wręcz...

– Nie, pani... – Levin na moment przeniósł wzrok na Constance. Usłyszał ciche: „Hillstrom”. –

Pani Hillstrom, ma pani całkowitą rację, Murder Park jest czymś innym, jest czymś więcej, o wiele więcej niż muzeum przestępczości i morderstw. Proszę raczej pomyśleć o rozrywce i dreszczu emocji, o mrowieniu w brzuchu, proszę pomyśleć... – zawahał się. – No dobrze, na tym etapie nie chcę zdradzać zbyt wiele. Powiem tylko, że Murder Park jest nie tyle muzeum, co rodzajem parku rozrywki, podobnego do Disneylandu, jest tak zwanym parkiem tematycznym, w którym przybliża się ludziom jeden konkretny temat. A jaki to temat? Zbrodnia. Owszem. Czy to źle? – Obnażył zęby. Paul nie mógł oderwać od niego wzroku. – Nie! Przeciwnie – to doświadczenie, którego nie zapomni pani do końca życia! – Paul miał wrażenie, że rysy twarzy mężczyzny, i tak już wyraziste, napięły się jeszcze bardziej. – Tak, to, co chcemy zaprezentować państwu w ciągu najbliższych trzech dni, jest czymś w rodzaju parku rozrywki. I tak, Legoland i Disneyland też nimi są, ale jest jedna różnica: nasz park nie jest przeznaczony dla dzieci. – Zrobił pauzę. Paul uzmysłowił sobie, że głęboko we wnętrzu kadłuba znów słychać warkot turbin. Przez chwilę nikt nic nie mówił, wszyscy z napięciem patrzyli przed siebie. – Dlaczego nasz park nie jest muzeum? – podjął Levin. – Ponieważ tu mniej chodzi o to, by czegoś się nauczyć, a bardziej o to, by coś przeżyć. A co dokładnie można tu przeżyć, już w ten weekend pokażemy państwu z bliska. Zgadza się, Constance? – Popatrzył na swoją rzeczniczkę,

która stała nieco z boku. – Dlatego zależało nam na tym, byście wszyscy...

– Byście wszyscy państwo byli singlami! – Constance zaprezentowała promienny uśmiech.

– Singlami? – Paul popatrzył na Lizzie w osłupieniu. – Dlaczego singlami?

– Pan nie jest singlem, Paul? – Wargi kobiety rozchyliły się odrobinę. *Owszem... jestem... ale...* – Myślę, że Rupert mówi nie do końca serio. Po prostu nikt z nas nie przyjechał tu z partnerem.

– Czy wszyscy ci ludzie są z mediów? – Paul powędrował wzrokiem po głowach współpasażerów. Nie było ich więcej niż tuzin.

– O to musi pan zapytać Constance. – Lizzie zabrała łokieć z oparcia między nimi. – Ale o ile wiem, projekt nie jest jeszcze ukończony. Levin i jego ludzie przygotowali tę prezentację, żeby już teraz przedstawić go prasie, a także osobom, od których mają nadzieję otrzymać wsparcie.

– Proszę popatrzeć, jest! Jak na zawołanie! – Levin spojrział w stronę dużego okna, odsłaniającego widok na nocny ocean. – Jeśli zechcą państwo wyjść na pokład, zobaczycie wyspę.

Deszcz za oknami kajuty wyglądał tak, jakby z czarnego nieba spływały srebrne nitki, łamiąc się na szkle. Pomiędzy nimi, w oddali, dało się rozpoznać ciemny, zacieniony zarys, jakby wznoszącą się ponad fale górę. Na jej szczycie jarzył się neonowy napis.

Paul wstał, podobnie jak pozostali. Po sekundzie zorientował się, że Lizzie została na swoim krześle.

– Nie chce pani zobaczyć wyspy?

– Ależ tak, pewnie. – Wstała, jednak nie ruszyła się z miejsca. Podczas gdy inni pasażerowie po kolei opuszczali kajutę, skinęła głową w stronę pulpitu. – Widzi pan? Constance zapomniała swoich materiałów. – Paul odruchowo przeniósł wzrok na pulpit. Rzeczywiście. Na opuszczonej mównicy leżał segregator. – Proszę pójść za mną. Pokażę coś panu. – Lizzie ruszyła przejściem przed siebie. – Tutaj, niech pan spojrzy.

Paul popatrzył na drzwi. Ostatni gość właśnie wychodził na zewnątrz; Levin i Constance również byli już na pokładzie. Przeniósł spojrzenie z powrotem na pulpit. Lizzie właśnie nachylała się nad segregatorem.

Podszedł bliżej.

– Co takiego?

– Bez obawy, to tylko materiały dla mediów. – Na chwilę podniosła na niego wzrok. Cienką, wełnianą czapkę miała naciągniętą na oczy. – Znam Constance; to nic poufnego, możemy spokojnie zerknąć.

Paul popatrzył na kartkę. Widniał na niej jakiś plan, do którego przyklejono kilkanaście żółtych karteczek post-it.

– To jest rozkład pokoi w hotelu na wyspie. – Maleńki kamień na palcu serdecznym Lizzie odbijał światło kajuty. – Widzi pan to? – Wskazała jedno

z pomieszczeń. Na karteczce widniało imię „Paul”. – Pana pokój ma drzwi przechodnie.

Drzwi w pokoju z jego imieniem były wyraźnie zaznaczone. Pomieszczenie miało jedne drzwi na korytarz i jedno do pokoju obok. Zanim Paul zdążył przeczytać imię na karteczce sąsiedniego pokoju, Lizzie ją odkleiła.

– Co pan o tym sądzi? – Zdjęła z planu inną karteczkę i przykleiła ją do pomieszczenia sąsiadującego z jego pokojem. Widniało na niej imię „Lizzie”. Paul obrzucił kobietę prędkim spojrzeniem.

Ten pokój ma przechodnie drzwi, pani Hillstrom. Czy jest pani pewna, że tego chce?

Jej zielonkawo-błękitne oczy były upstrzone delikatnymi pomarańczowymi cętkami. Starannie wygładziła karteczki z ich imionami. Paul pomyślał, że skóra na jej policzkach – na skutek zimna na zewnątrz i ciepła w kabinie – wygląda niemal jak...

...świeżo wyjęta z opakowania.

Wypuścił powietrze z płuc. Czy naprawdę o tym pomyślał?

– Paul... Lizzie? Nie chcecie zobaczyć, jak przybijamy do brzegu? – rozległ się głos.

Paul podniósł wzrok, nieco zaskoczony. Zmierzała ku nim Constance. Wyczuł, jak Lizzie trąca go lekko, odchodząc od pulpitu.

– Tak, masz rację – powiedziała, po czym minęła Constance i skierowała się w stronę szklanych drzwi.

Gdy rzeczniczka zbierała materiały z pulpitu, Paul zerknął na nią mimochodem. Najwyraźniej niczego nie zauważyła. Czy powinien coś powiedzieć? Tylko co? Jeśli ktokolwiek miał coś przeciwko zamianie pokoi, to przecież w każdej chwili można było cofnąć zmianę. Skinął przelotnie głową i podążył za Lizzie ku wyjściu.

Na pokładzie ziąb smagnął go w twarz. W strugach deszczu było już wyraźnie widać czarną i poszarpaną sylwetkę wyspy. Wznosiła się tuż przed nimi niczym gigantyczny posępny żółw. Powietrze przepelniał głuchy szum fal przyboju. Wokół zimnej, nagiej skały, zakotwiczonej głęboko na dnie morza, szalały ostre igielki rozpryskiwanej wody, lodowatych kropli deszczu i przenikliwego wiatru.